Nr. 12. Lwów, 15 czerwca 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

IV. ZJAZD ŁOWIECKI.

Podajemy niżej porządek dzienny IV-go zjazdu łowieckiego, jakoteż regulamin strzelania popisowego. Dwa dni zostały wyznaczone na zjazd, a mianowicie dzień 24-go i dzień 25-go — uczynione to zostało w tym celu, aby można było w razie potrzeby przeciągnąć obrady zjazdu na drugi dzień i w ten sposób wyczerpać cały materyał.

Ponieważ, jak się zdaje, uchwała w sprawie utworzenia związku Towarzystw łowieckich tym razem dojdzie już do skutku, spodziewamy się, że na zjeździe naszym pojawią się licznie delegaci tych Towarzystw, aby w dyskusyi nad tą sprawą wziąść czynny udział.

Prosimy Szanownych Członków Towarzystwa, aby o ile możności jak najliczniej zebrać się na zjazd ten zechcieli i wyrażamy nadzieję, że będzie on jeszcze liczniejszy niż w latach poprzednich.

Program zjazdu łowieckiego

w dniach 24. i 25. czerwca 1900.

Dnia 24. i 25. czerwca o godzinie 10 rano walne zgromadzenie w sali gmachu domen i lasów przy ul. Kopernika l. 22.

Dnia 25. czerwca o godzinie 4 po południu popisowe strzelanie na strzelnicy wojskowej.

PORZĄDEK DZIENNY ZJAZDU.

1. Zagajenie Przewodniczącego.
2. Zamknięcie rachunków za rok 1899.
3. Preliminarz na r. 1900.
4. Sprawa traktowania kłusowników przez władze.
5. Sprawa związku Towarzystw łowieckich.
6. Wnioski i interpelacye członków.

REGULAMIN

popisowego strzelania uczestników Zjazdu łowieckiego, urządzonego przez galicyjskie Towarzystwo łowieckie w dniu 25. czerwca 1900 o godzinie pół do 4. po południu na strzelnicy wojskowej.

I. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków o cztery nagrody:

1. Nagroda: Wieszadło na broń z rogów (dar wiceprezesa Towarzystwa, p. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego.

2. nagroda: Dzbąn z bronzu (nagroda dam).

3. nagroda: Stelaż na broń (dar Towarzystwa łowieckiego).

4. nagroda: Dyana z bronzu (dar Towarzystwa łowieckiego).

Początek o godzinie $4^1/_2$ po południu.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków o trzy nagrody:

1. nagroda: (dar prezesa Towarzystwa Romana hr. Potockiego).

2. nagroda: Dwa obrazy myśliwskie z bronzu (dar Towarzystwa myśliwskiego im św. Huberta).

3. nagroda: Srebrna papierośnica (dar prezesa komitetu urządzającego popisowe strzelanie p. Wit. Korytowskiego).

Początek o godzinie 5. po południu.

III. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych (do dzika) o trzy nagrody:

1. nagroda: Zegar myśliwski (dar Towarzystwa łowieckiego).

2. nagroda: Garnitur do palenia z rogów (dar Towarzystwa łowieckiego).

3. Nagroda: Wyżeł z bronzu (dar miejskiego Towarzystwa łowieckiego).

Początek o godzinie $5^1/_2$ po południu.

IV. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych (do lisa) o trzy nagrody:

1. nagroda: Sztuciec myśliwski Sauera (dar wiceprezesa Towarzystwa p. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego — tylko dla członków Towarzystwa i delegatów).

2. nagroda: Garnitur do pisania (dar komitetu urządzającego popisowe strzelanie).

3. nagroda: Nóż myśliwski (dar prezesa komitetu Wit. Korytowskiego).

Początek o godzinie 6 po południu.

V. Strzelanie do kul szklanych o trzy nagrody:

1. nagroda: Orzeł z bronzu na kuli z onyksu (nagroda dam).

2. nagroda: (dar wiceprezesa komitetu, urządzającego popisowe strzelanie, p. Juliusza hr. Bielskiego jun).

3. nagroda: Kordelas (dar Andrzeja ks. Lubomirskiego).

Początek o godzinie $6^1/_2$ po południu.

---

§. 1. Do udziału w strzelaniu ad I. są uprawnieni tylko członkowie i delegaci galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, do strzelania ad II. III. IV. i V. członkowie Towarzystwa, uczestnicy zjazdu i osoby przez Towarzystwo zaproszone.

§. 2. Zgłoszenie do każdego z wymienionych rodzajów strzelania, ma nastąpić najpóźniej na 15 minut przed rozpoczęciem strzelania.

Zgłoszenia przyjmuje komitet na miejscu urzędujący.

§. 3. Wpisowe od każdego rodzaju strzelania wynosi 4 korony.

§. 4. Każdy ze strzelających może używać własnej broni myśliwskiej tj. strzelb i sztućców, z wykluczeniem sztućców tarczowych, z lunetami i gukierami, tudzież mannlicherów szybkostrzałowych.

§. 5. Przy strzelaniu ad I., II., III. i IV. daje każdy ze strzelających 5 strzałów bezpośrednio po sobie następujących.

§. 6. Strzelanie odbywa się tylko z wolnej ręki.

§. 7. Porządek strzelania będzie ułożony alfabetycznie według nazwisk uczestników, względnie przy strzelaniu ad I. i II. powierzony losom, gdyby wiatr zapędzał dym na linię strzelających.

§. 8. Średnica czarnego przy strzelaniu ad I. i II. wynosi 20 centimetrów. — Suma uzyskanych punktów rozstrzyga o celności w strzelaniu.

§. 9. Przy strzelaniu do kul szklanych, strzela każdy raz po raz do 5 kul.

Do kuli chybionej z jednej lufy, wolno z drugiej lufy dublować.

Przy równej ilości kul zbitych decyduje ilość strałów.

§. 10. Jeżeli broń zawiedzie, może być strzał powtórzony.

§. 11. Strzał dany wbrew przepisom regulaminu, uważa się jako chybiony.

§. 12. Przy strzelaniu do tarcz ruchomych, przedstawiających zwierzynę, wolno złożyć się do strzału dopiero po daniu sygnału dzwonkiem. — Tarcza przedstawiać będzie w strzelaniu ad III. dzika, a przy strzelaniu ad V. lisa.

§. 13. Przyznanie nagród, jakoteż rozstrzyganie spornych kwestyi, należy wyłącznie i nieodwołalnie do Sądu rozjemczego.

§. 14. Pierwszą nagrodę przy strzelaniu ad V. zastrzegł p. Czarkowski-Golejewski tylko dla członków i delegatów Towarzystwa.

W skład tego Sądu wchodzą: Juliusz hr. Bielski, JE. Jenerał major v. Lang i Wit. Korytowski jako członkowie, a Juliusz hr. Tarnowski jako zastępca.

Panów P. T. Członków Towarzystwa uprasza się, ażeby się jawili z odznakami Towarzystwa. (Członkowie Towarzystwa, którzy odznak nie mają, mogą je otrzymać na miejscu).

Tadeusz Czarkowski-Golejewski. *Roman hr. Potocki.*

O strzelaniu przez lunetę.

Ponieważ i ja między innymi dopasowywałem lunetę do broni małokalibrowej panu A. Przedrzymirskiemu, i ostrzeliwałem broń z lunetą tak sam, jak i w obecności właściciela, przeto ośmielę się skreślić kilka uwag, odnoszących się do lunety. Wszystkie spostrzeżenia, poczynione przy próbach broni z lunetą przez p. A. Przedrzymirskiego, są bardzo prawdziwe i przyznać się muszę, iż ciągłe próby z lunetą doprowadzały mnie nieraz do rozpaczy, gdy przed południem miałem już dobry rezultat strzałów, po południu zaś, idąc z właścicielem broni do próby, zły rezultat — i nowe kreślenia znaków na lunecie poczynione być musiały.

Przypisywałem zawsze winę montowaniu (osadzeniu) lunety na lufie, pomimo, iż wedle wzorów najstaranniej, najdokładniej i najsilniej osadzona była. Do tego stopnia posunąłem pewność osadzenia lunety, iż nóżki stalowe, na których lunetę się osadzało, pomimo iż były z najlepszej stali wykonane, przykręcałem jeszcze śrubą tak dalece, że nawet aż trzy śruby wprowadziłem, aby mieć to zapewnienie, iż luneta przy wibracyi lufy podczas strzałów się nie wzruszy, nadto pierścienie, które chwytają lunetę, były stale do rury stalowej lunety przylutowane, (pomimo iż przy żadnej lunecie tych środków ostrożności zastósowanych nie widziałem), więc tem samem byłem upewniony, że luneta, jako taka, nie może pod żadnym warunkiem wpływać na różnicę strzałów. Niezmiernie mnie wprowadzała w błąd ta okoliczność, iż ja strzelałem przed południem sam z prawego przykładu, zaś p. A. Przedrzymirski, strzelając po południu, strzelał z lewego przykładu, (gdyż tylko z lewego przykładu strzela) i temu przypisywałem tę różnicę w obrazie osadzenia kul w tarczy. Jaki wpływ wywiera światło na muszkę, wizyer i przedmiot, do którego się strzela, jest mi bardzo dokładnie znanem i naprowadzę tu kilka dowodów.

Pomimo, iż światło taki kolosalny wpływ wywiera na różnicę strzałów, jak to pokrótce i na małych stosunkowo doświadczeniach oparte przykłady podał p. A. Przedrzymirski, przecież karabiny wojskowe w dobrze prowadzonych zakładach dla ostrzeliwania broni, wszystkie jednakowo o każdej porze dnia strzelają, t. j. jeżeli weźmiemy karabiny już ostrzelane i z zamarkowanemi muszkami i wizyerami to n. p. o godzinie 9 rano przy tem samem oświetleniu każdy karabin w jedno miejsce będzie strzelał n. p. na prawo koła czarnego.

Ośmielę się przytoczyć sposób, w jaki broń wojskową w zakładach dla ostrzeliwania próbują. W tej godzinie, w której słońce dochodzi do kulminacyjnego punktu, ostrzeliwuje się kilka karabinów, o których celności w prowadzeniu kuli ma się już przedświadczenie, po dokładnem ostrzelaniu tych karabinów na różne odległości przytwierdza się muszkę i wizyer stale tak, że przy lada trąceniu poruszyć się nie może i te karabiny służą nadal za podstawę do ostrzeliwania innych karabinów o różnej już porze dnia. Jeżeli rusznikarz, zajęty próbowaniem broni, ma strzelać przed południem, to nakreśla sobie cel dla próbowania broni w następujący sposób: Do wielkiej tarczy o stosunkowo małem czarnem oddaje z tych pięciu lub najwyżej sześciu karabinów po jednym strzale, mierząc do czarnego. Przyglądając się nastrzelanej tarczy zauważy się, iż wszystkie oddane strzały są n. p. po prawej stronie obok czarnego w przepuszczeniu, że miał światło z lewej strony muszki umieszczone, tę grupę kul przecina linią krzyżową i w tem miejscu, gdzie się krzyżują linie, nalepia czarny cel, miejsce zaś dawnego celu, do którego mierzył, oddając strzały z wypróbowanych już karabinów, zalepia białym papierem, przeto otrzymał cel, do którego przed południem ostrzeliwuje karabiny. Po południu odbywa się ten sam proceder, że z tych wypróbowanych karabinów oznacza się cel, do którego ma się po południu karabiny nastrzeliwać. Muszę zauważyć, iż we wspomnianych zakładach dla ostrzeliwania broni wojskowej, broń jest dokładnie ostrzelaną (jeżeli już co później nie zaszło podczas używania broni) i jeżeli oddamy strzały z kilku karabinów o jednej godzinie, to z tych wszystkich będą kule w jednem miejscu osadzone. Nie od rzeczy będzie, jeżeli wspomnę, że dla okolic wysoko nad poziomem morza położonych inaczej musi być broń ostrzelana, aniżeli dla okolic niżej położonych, ponieważ w okolicy wysoko nad poziomem morza położonej jest rzadsze powietrze i pocisk nie natrafia na taka przeszkodę działania powietrza, przeto pocisk nie robi tak gwałtownego opadu, jak w okolicach nisko nad poziomem morza położonych. Teraz wspomnę, w jaki sposób rusznikarze próbują broń do różnych celów przeznaczoną, i tak: pistolety tarczowe ostrzeliwuje się tylko w samo południe, gdy słońce stoi najwyżej, naturalnie, że rano będziemy mieli inne rezultaty; w tych wypadkach wytrawny strzelec tarczowy łatwo sobie radzi, gdyż trochę ukośnie ustawia sobie tarcze i tak, jeżeli punktualnie ostrzelane pistolety wskutek światła z boku strzelają na lewo, ustawia tarczę tak, iż lewą jej stronę przysuwa ku sobie a do tak ustawionej tarczy przychodzą kule do czarnego. Co do sztućców tarczowych, jeżeli w zwyczaju jest, że strzelanie odbywa się po południu, musi ta broń być ostrzelaną po południu i na tej samej strzelnicy, t. j. przy tych samych warunkach oświetlenia. Daszki nad muszką i wizyerem, o których wspomina p. A. Przedrzymirski, że przy ich pomocy miał najlepszy rezultat strzałów, używa się tylko do broni tarczowej i to na strzelnicach nieocienionych, gdzie strzelający i broń są na działanie słońca wystawieni.

Broń zaś myśliwską, jak ekspressy i broń kulową większego kalibru ostrzeliwuje się o różnej porze dnia, jednakowoż zawsze tak, aby strzelający i tarcza byli w cieniu, jeżeli zaś muszka i cel wystawione są na działanie promieni słonecznych, ostrzeliwanie broni staje się wprost niemożliwem, gdyż, jak to praktykowanem jest, iż muszka jest bądźto cała z białego błyszczącego metalu, bądźto przynajmniej ma nasad biały skierowany ku oku, to koncentruje tyle promieni słonecznych, że uniemożliwia wprost strzelanie, ewentualnie dokładne mierzenie. Oświetlona promieniami słonecznemi tarcza przedstawia fałszywy obraz oku, i niekoniecznie jest tam punkt czarny, gdzie się na-

szemu oku przedstawia. Na naszej strzelnicy miejskiej we Lwowie, jest próba broni kulowej do 11 godz. przed południem wprost niemożliwą i na prawdziwość i dokładność tych strzałów zupełnie rachować nie można. To co tutaj wspomniałem o działaniu światła, jaki wywiera wpływ na mierzenie a przez to samo na strzał, odnosiło się nie do czego innego, jak tylko do lunety, co do której już wielką walkę stoczyłem, — i jak wspomniałem, że o każdej porze dnia miałem najróżniejsze rezultaty. Jaki wpływ wywiera światło na strzał, jak na przeciętnego rusznikarza, dobrze wiedziałem, jednakowoż, aby światło wywierało taki kolosalny wpływ na lunetę, pojęcia dotąd o tem nie miałem. Gdy bowiem krzyż (muszka), który służy do mierzenia, jest po środku lunety, (jak to p. A. Przedrzymirski opisał), umieszczony, tak, że promienie wprost na krzyż działać nie mogą, a ja tylko jedno przypuszczam, że soczewki, gdy na nie w ogóle działają promienie słoneczne, przedstawiają nam cel (przedmiot do którego strzelamy) nieprawdziwie t. j., że przedmiot, do którego mierzymy, widzimy w tem miejscu, gdzie w rzeczywistości się nie znajduje, czyli innemi słowy ulegamy optycznemu złudzeniu. Tę kwestyę zostawiam do rozstrzygnięcia tym, którzy się tem specyalnie zajmują. Ja z praktyki tylko to jedno po raz wtóry zaznaczę, że o każdej porze dnia z lunetą inaczej się strzela.

Nie podniósł dotąd p. A. Przedrzymirski jeszcze jednej okoliczności, o której z praktyki nabraliśmy wyobrażenia, myślę tu o wrażliwości lunety na najlżejsze potrącenie. Bo przecież istnieją różnice między lunetami; nie chodzi mi tu o to, czy są o szerszym lub mniejszym widnokręgu, tylko o to, że są lunety tak skonstruowane, że jedne są osadzone tak, że soczewka zwrócona prawie ku oku, dosięga oka i trzeba zakładać ochraniacz gumowy, ażeby przy wystrzale nie uderzyła w głowę, inne zaś szkła są tak zestawiane, iż muszą być o 20 cm. oddalone od oka. Bardzo często strzelający, nie zastanawiając się, wybiera tę lunetę, która będzie bliżej oka osadzona, gdyż niezaprzeczenie mierzenie jest łatwiejsze, tymczasem nie liczymy się z tem, iż ten krzyż, w lunecie osadzony, którym się mierzy, jest zarazem muszką i wizyerem, a muszka ta nie znajduje się, jak zwykle na przodzie (u wylotu) lufy, tylko przeciwnie u samego tyłu lufy (przy komorze). Gdy bowiem wiemy z doświadczenia wszyscy, jaki ujemny wpływ wywiera lada potrącenie, posunięcie muszki na celność strzału i aby uniknąć przesunięcia, robimy muszkę zasuwaną od góry w szynę lufy, gdzie przesunięcie muszki jest wykluczone, to przeciwnie z tem nie liczymy się przy lunetach. Jeżeli n. p. przesuniemy muszkę na przodzie lufy umieszczoną na 1 m/m, to będziemy mieli różnicę w strzale na 200 kroków o 20 cm., a jeżeli przesuniemy lunetę, która jest u samego tyłu lufy osadzoną, $^1/_{10}$ tylko m/m., to na 200 kroków będziemy mieli najmniej tę samą różnicę t. j. 20 cntm., jeżeli nie więcej. To pozostawiam p. A. Przedrzymirskiemu do stosownego opisania, gdyż praktycznie doświadczyliśmy wrażliwości lunety na najlżejsze potrącenie. Znacznie mniej wrażliwą jest luneta daleko od oka osadzona, gdyż i krzyż (muszka) jest z nią dalej na lufie osadzony.

Na tem kończę moje szczupłe spostrzeżenia o lunetach, dziękując wielce Szanownej Redakcyi za udzielenie mi miejsca w łamach „*Łowca*“ i upraszam zarazem wszystkich tych pp. myśliwych, którzyby jakichkolwiek wyjaśnień fachowych w dziale rusznikarskim życzyli sobie, ażeby przez korespondencyę w „*Łowcu*“ zażądali odpowiedzi, a ja w miarę mej wiadomości i praktycznego doświadczenia odpowiem z całą gotowością.

Kazimierz Tabaczkowski, rusznikarz.

„ROK MYŚLIWCA“

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Czerwiec bywa u myśliwych miesiącem „ciepłych tropów“ zwany, więc dla łowcy nie zdatny; bo przysłowie mówi, że

„Włodarz czeka na trop ciepły,
A łowca na skrzepły“.

Koniec maja i początek czerwca mało różnią się od siebie, zwłaszcza gdy spóźniona wiosna, tylko że wszystko idzie więcej w górę i na gniazdo. Łąki okryte i częścią jeszcze kwitnące, poczynają przerastać; zboża strzeliły i poczynają falą płynąć za wiatrem, ozime idą w kłos, a jare w kolanko; drzewa już wszystkie w pełnej sile i zieloności, poczynają nabierać właściwych sobie odcieni kolorytu; w polach giną z każdym dniem więcej średnie oddalenia; w lasach mrok zielony, i tylko gdy się słońce wyniesie, błyszczą po takrocznem zżółkłem i miedzianem podsłaniu liścia, jasne, krągłe oczka, jakby kto złote szelążki rozsypał po ziemi.

Wszelki ptak, wszelkie zwierzątko i zwierzę, które się u nas gnieździ, wylęga się teraz, trzyma się blizko swego gniazda w miejscu i broni małego obejścia, gdziekolwiekby siadło i było, a nawet drapieżne nie unosi się daleko. Wszelkie żyjątko jest niejako związane i osadzone w miejscu i strzeże gniazda i łoża, pieleszy jamy i nory, gdy się młodym miotem i życiem odnawia.

Umajenie i zagajenie wiosny, poszycie i okrycie traw, kwiatów, krzewów i drzew, sprzyja dziwnie temu życiu skupionemu około gniazd i odnawianiu rodzaju.

Chór wiosennych śpiewaków grzmi jeszcze w całej

sile, ale w miarę tego jak się po gniazdach z jaj klują pisklęta, ubywa wdzięcznych głosów, a miasto nich poczynają się odzywać dwusylabowe głosy troski czułych o wyżywienie gniazda rodziców, lub trwogi, gdy się do gniazda człowiek albo zwierzę jakie przybliża.

Tu potrzeba podziwiać siłę przyrodzonego prawa, w którego obronie z narażeniem życia najdrobniejsza ptaszyna uderza tak śmiele, odpierając napaść najsilniejszego nawet najezdzcy i bardzo często ze skutkiem.

Są ptaki, które już wcześniej śpiewać przestają, ale z wielkich, podniosłych głosów, gdy

„Na św. Wit
Słowiczek cyt",

to już ubywa wiośnie bardzo wiele wdzięku. Jakiś czas jeszcze podrzeźnia śpiew jego pokrzywka, wielkiego słuchu i wielkiej pojtności muzycznej ptaszyna; ale gdy jej wielkiego wzoru zabraknie, ucicha i ona. Dudek tylko huda jeszcze wesoło, głośno pogwizduje wilga i kukułka cichnie dopiero pod koniec miesiąca, gdy się na gnieździe młode podniosą bociany.

Do głosów czułości i radości, troski i trwogi około gniazd ptasich, przybywa piszczenie, cierpanie i świegotanie głodnych żeru piskląt, które czekając opatrzności, szeroko rozdziawiają dzióbki, jeszcze w pałkach na gnieździe, lub już upierzone, obsiadają gałązki kupką blizko gniazda, albo tulą się pod skrzydła kwoczącej ptaszyny, która grzebie i wodzi.

I tu nierówny obyczaj jest ptaków. Błotne, zbożowe i wodne, łączne i krzewowe tulą i wodzą dłużej młode koło siebie, wprawiając je do cieczenia i pływania, do żeru i pola, do ostrożności i lotu, poczem trzymają się razem z niemi miejsca, lub zbijając gniazdą, tworzą gromady i zmieniają pole, ale już upierzone z pewnym rodzajem ostrości odbija od gniazda i swojej dziedziny, już z końcem tego miesiąca.

Jest to czas, w którym się myśliwe ptaki wybiera z gniazda i żywi z ręki, lubo sokolnicy wybierali także z gniazda jaja i podkładali je pod inne ptaki.



Po płotach i polach nie wypada chodzić z psem, bo płocha ptaszka siedzi jeszcze na gniazdach, spłoszona zaś porzuca jaja, a jeżeli już się wywiodły kurczęta, to są jeszcze w puchu i pies się bałamuci i chwytaniem kurcząt psuje się, a i przyszłego polowania szkoda.

Właściwe polowanie jest w tym czasie pod koniec miesiąca na łodzi, na podloty i od ostatniego strzału, który się rozległ po leśnej polanie za słomką, nie godziłoby się właściwie strzelić, jak dopiero z łodzi na podloty. W tym czasie poczynają się już także pierzyć kaczory i gęsiory i szyją się po oczeretach i spławach, niesposobne do lotu, a już odżerowane dobrze. Najwdzięczniejsze to polowanie, gdzie po temu pole.

Dla małego myśliwego czas to naprzód podbierania jaj ptasich, a gdy wszelki ptak, płochy czy drapieżny, trzyma się swego gniazda stale i zdradza się głosem i zrywaniem, więc jest to pora dogodna do upatrywania gniazd i wybierania myśliwych sokołów i wszelkiej ptaszki, która się ma chować w klatce i na wabia.

Gdzie chodzi o wykorzenienie, szkodliwego drapieżnego ptactwa (bo jest i pożyteczne), tam bije się stare przy gnieździe, a wydziera się młode z gniazdem. Mały myśliwy powinien także w tym czasie tropić łasice, kuny, tchórze, żbiki i domowe koty, które się w poprzek drogi i szerokiej miedzy często przemykają, wychodząc na łup do gniazd ptasich i tym samym tropem wracać zwykłv. Nie chodzi o skórkę (lubo już są wylenione i lśniące w tym czasie włosem krótkim), ale chodzi o wielką szkodę jaką zwierzynie czynią, szukając dniem i nocą żeru i wydzierając gniazda płochej ptaszki.

W tym czasie mają bobaki młode i biorą się z gniazda na chowanie, również młode wydry, których stanowisko obsiewa się popiołem dla świeżego tropu i następnie stawiania łapek drucianych z rybką, która je jak samotrzask zamyka.

Dzika kozą ma w tym czasie młode koźlątko, które na stole do najwykwitniejszych należy przysmaków.

Młode wilki w tym czasie odssane, wybierają się z gniazda i biorą po jednemu na łańcuch do myśliwskiej stajni, gdzie tego potrzeba, aby myśliwskie konie z wilkiem oswojone były. Młode lisy, które liszka w tym czasie z jam w zboża wyprowadza, do łowu zaprawia i płytkie letnie jamy kopać uczy, można podbierać z wielką łatwością, puszczając jamniki. Gdzie jest zwyczaj, że lisy do polowania układają, tam najlepiej dać je odrazu do psiarni. aby się razem z psami chowały; czem młodsze, tem łatwiej przystają do psów, bo są wesołe i igrać lubią z szczeniakami swego wieku.

Dziki trzymają się i w tym czasie ciągle gąszczów; ale samura wywiodła już z barłogu 8 do 10 morągich warchląt. Jeleniowi odrosły już rogi i stwardniały wcale, w części już obczemchane; ogładził się też, zrzucił sierść zimową i pociemniał pięknie już o świętym Janie, a gdzie tego potrzeba, biją go na upatrzonego na kuchnię.

Łania i sarna ma już centkowane cielątko i trzyma się z niem zdaleka od stada i jałowych kóz, i tu czas chwytać żywe do zwierzyńców i na chowanie, co nie jest trudno.

Głuszec, jarząbek i cietrzew odbił się od samicy i żyje znowu samotnie po głuchych ostępach, a samica wodzi kurczęta po gąszczach.

W zbożach mają już młode dropie, a przepiórki siedzą na jajach. Najpóźniejsze to wszelkiej kury pisklę jest ta przepiórka, ale po skowronku najwierniejsza towarzyszka rolnika, co uwesela świat Boży swym głosem, i dopiero wdzięcznie i wesoło, gdy ona powraca, a wszystko głuchnie, gdy jej już nie staje.

Do układania psów legawych, dla których pierwsze pole idzie, czas to ostateczny. Młode jamniki pierwszego pola najlepiej zaprawiać na płytkich polnych jamach na młode lisy, które jeszcze nie tną i psów nie zrażają.

Czerwiec zwany jest miesiącem „ciepłej rosy“, zorze nie gasną przez noc całą. Trudno też, mówiąc o czerwcu, nie wspomnieć o uroku świętojańskiej nocy, która rojem świecących muszek, jak iskrami wonnego kadziła, sieje i rozlewa czarodziejstwo swoje.

Już też i w części pokoszone łąki napełniają balsamiczną wonią powietrze, a ptaszka, która po łąkach swe gniazdo usłała, tuli się trwożliwie z pisklęty pod pokosami.

Słońce jest w pełnej sile; ogromne obszary łąk i błot, ogołocone z roślin, wychmarzają z powierzchni wód stojących parną atmosferę, elektrycznością ciężarną, a częste grzmoty i błyskawice, lub czerwone i nocne łyskania na pogodę, przeciągają ponad ziemią i oczyszczają powietrze.

Odkąd najwyższy stan wód i rzek naszych na zimowe przypada miesiące, zwykły niedopisywać gościnne świętojańskie wody; wszakże jeżeli jeszcze przybywają, uprzedza powódź i wezbranie wód ruchem swoim ptactwo morskie, zjawiając się na wybrzeżach rzek. W tym czasie jeszcze jest wędrówka ptaków wyjątkową, dlatego uderza tak bardzo ten ruch morskich wron, rybitw i wodnych orłów, które tylko na wybrzeżach północnego morza, lub w okolicy wielkich jezior teraz przebywać zwykły.

Zaledwoby uwierzyć można, że do 200 mil od brzegu morskiego, w głąb Karpat ciągnie to ptactwo, gdy woda zbiera i wylać ma powodzią na rzekach. Zresztą wróżą z przybycia tego ptactwa morskiego zawsze na powódź, a gdzie rybitwa morska siędzie na poprzeczach, spadając po raz pierwszy, aż do tego miejsca będzie wylew.

Opis tego miesiąca uzupełnił Kossak ilustracyą również udaną, jak reszta ilustryacyi w całem dziele. Górna jej część przedstawia groblę stawu, oświetloną światłem księżyca, na której pojawia się wydra, przenosząca widocznie swoje rozbójnicze wycieczki na drugi staw — na dole przedstawione jest polowaniez łodzi na podloty.

TOKI GŁUSZCÓW W TATRACH.

Zamiast sprawozdania o stosunkach łowieckich w tutejszym powiecie — o co się sumienie delegackie coraz silniej dopominać poczyna — zamiast opisu, jak przezimowała zwierzyna i jakie nadzieje mieć można na przyszłość, wolę myślą cofnąć się w niedaleką przeszłość, uśmiechającą się do mnie wypchanym niedawno głuszcem, stojącym w moim pokoju. O teraźniejszości zaś lepiej nie myśleć — życzyćby chyba wypadało, by biedne kuropatwy i bażanty zamienić się mogły w kaczki i w ten sposób uratowały siebie i przyszłe, zagrożone potomstwo, od oczywistej zagłady — topieli. Oby Falb pomylić się raczył, jak mu się to nieraz zdarzyło, gdyż, jak dotąd, tryumfować może przepowiedzianymi: deszczami, śniegami, syberyjskiem zimnem w „uroczym“ maju!

Trzydziestego kwietnia b. r. wyruszyliśmy z pp. Z. i B. do Witowa, położonego w Tatrach. Witów kupił na początku tego wieku od rządu austryackiego, jako dawną królewszczyznę, pewien obywatel, nieznanego mi nazwiska za 18.000 zł. monety konwencyjnej; przyjechawszy na miejsce i przekonawszy się, że niema domu, mieszkania, że to kraj zapadły, dziki, same lasy i góry, zwołał chłopów tamtejszych i zapowiedział im, „że ich Turkom sprzeda“, jeżeli nie odkupią od niego tych obszarów. Przestraszeni poddani wzięli żart za dobrą monetę, pieniądze szybko — za pośrednictwem miejscowego księdza — złożyli i dzisiaj dobrze na tym „żarcie“ wychodzą; mają 6000 morgów przepysznych, zaszanowanych lasów, wartości półtora miliona, a może i więcej! Racyonalną, wzorową gospadarką leśną zajmuje się Wydział krajowy przez delegata swego, rejenta dr. W., i leśniczego miejscowego p. H., w którego gościnnych progach rozłożyliśmy się kwaterą.

Sprawozdania leśnych brzmiały zachęcająco: „Głuszce klepią dobrze na Kropowcu, Jaworzynie, pod Kominami — śniegi ino okrutne!“

Do schroniska daleko, wyruszamy zatem o 10-tej w nocy; jedziemy doskonałą drogą przez lasy, na miejsce przybywamy o północy. W schronisku pali się ognisko, czekają przewodnicy-leśni; chłodno — ogrzewamy się trochę na daleką drogę, w góry pieszo zasilamy się posiłkiem i wódką; rozchodzimy się wreszcie — każdy w inną stronę. Mnie prowadzi uprzejmy, zawołany na całe Tatry myśliwy p. H. na Jaworzynę; z latarkami — noc ciemna — posuwamy się powoli w górę; po dobrych dwóch godzinach dostajemy się do szałasu wśród dużej polany; gasimy światła — do tokowiska już niedaleko. Dotąd ścieżka była względnie wygodna, kamienista i twarda, wyszedłszy jednak z szałasu na polanę, wpadamy od razu w śnieg po pas; im dalej brniemy w lesie, zaspy coraz dłuższe — głębsze, ledwie krok — dwa utrzymać się można na wierzchu — zapadamy coraz częściej; pot kroplisty występuje na czoło, czasami raczkować wypada; siły opuszczają nas, namiętność myśliwska pokonuje jednak wszystkie zapory — zatrzymujemy się wreszcie wśród odwiecznych świerków. — „Słyszy pan? — tokuje, ale daleko!“ — mówi p. H. — „Nic nie słyszę“ — odpowiadam, słuch napróżno wytężam. — „Poczekamy!“ — brzmi komenda. Siadamy. Noc cicha, wspaniała, niebo zasiane gwiazdami; lelek odzywa się, puszczyk jęczy w oddali — głuszca jednak nie słyszę. — Na wschodzie widać ledwie dostrzegalny pas horyzontu — jaśniejszy, gwiazdy bledną; poczynam wyraźniej odróżniać bliższe drzewa, wzrok mój pomału coraz głębiej zapuszcza się w knieję; dnieje — drozdy się budzą i witają brzask śpiewem, las ożywia się tysiącem głosów mieszkańców skrzydlatych — tylko ten jeden, dla którego przybyłem, tyle trudów i znojów poniosłem — milczy zawzięcie! Na pociechę oglądamy tokowisko, znaczne wydeptanemi na śniegu ścieżkami, odchodami krótkimi, koloru ciemno-żółtego, tak charakterystycznymi u głuszca tokującego. Schodzimy do schroniska; teraz dopiero widzę, jak droga była stroma — w nocy tego nie czułem. „Może który z towarzyszów miał więcej szczęścia odemnie?“ — myślę; niestety wraca p. B. — nic nie słyszał; po chwili ukazuje się dr. Z., opowiada, że widział głuszca i kur kilka, „tak słabo jednak kłapał, nic nie syczał, — przelatywał tylko z drzewa na drzewo, że niepodobieństwem było go podejść wśród rzadko w tem miejscu rosnących smereków“.

W powrocie do Witowa postanawia Dr. Z. pojechać do blizkiej leśniczówki w Kościeliskach, by dowiedzieć się, czy tam głuszce lepiej nie tokują. Zwracamy z drogi, przybywamy do leśniczego p. C., dowiadujemy się, że jest kilka pewnych tokowisk, a przedewszystkiem, że śniegi tutaj już ztajały prawie zupełnie i dostęp wskutek tego łatwiejszy. Po długich debatach, wahaniach, postanawiamy spróbować szczęścia.

Na drugi dzień podszedłem w towarzystwie p. H. pod drzewo, na którem głuszec tokował, w żaden sposób nie mogliśmy jednak zobaczyć — tak schowany siedział wśród gałęzi. Podczas pochodu w nocy — w ciemnym lesie, gdzie palca własnego, trzymanego przed oczami, zobaczyć nie było można — zdarzył się komiczny przypadek panu H.: zwierz jakiś wpadł na niego, przypuszczając, że to niedźwiedź, o którym nam leśni opowiadali, że go świeżo tropowali, — bronił się laską, czem tak przestraszył... rogacza, iż ten becząc przez godzinę przeraźliwie, cały zaniepokoił rewir, w którym się Dr. Z. znajdował. Wśród ulewnego deszczu, mgły i chmur, zakrywających góry zupełnie, dotarliśmy na leśniczówkę. Rosa srebrno-biała, przeźroczysta, pokrywająca liście i trawy, oziębienie znaczne, wiatr wschodni — pozwalały mieć nadzieję, że pogoda znowu nastanie i rzeczywiście po południu ukazało się słońce. Postanowiliśmy udać się tego dnia na wieczorny zapad głuszców i wskutek tego przepędzić noc w szałasie na górze, by rano bliżej mieć do tokowisk. Poszedłem na „Szuwarową“ z leśnym, a zarazem dozorcą kozic — w to samo miejsce, co dnia poprzedniego. Słyszałem jak z szumem zapadł głuszec, tokować począł doskonale, nie podchodziłem go jednak, stosując sie do rady przewodnika; wieczorem bowiem ptak o wiele ostrożniejszy niż rano, a powtóre, trzeba było przechodzić gołaźń, pokrytą śniegiem, aby się dostać do niego, — na obchodzenie dalsze było już za późno.

Wracamy do szałasu; ognisko zapalone, dym uchodzi w górę, ócz przeto nie gryzie i oddechu nie tamuje — wiatr ustał; siadamy na ziemi, okrytej grubo cetyną, posilamy się skromną wieczerzą; gawędzimy z góralami o kozicach, których strzelać ustawa w Galicyi nie pozwala, a tylko Węgrzy z tego korzystają, — o głuszcach, o „mikołajach“ — tak żartem lud tutaj nazywa niedźwiedzia — anegdoty wesoło krążą wokoło, podawane tą miłą gwarą góralską, przypominającą Sabałę; zapomina człowiek o troskach codziennych, oddycha pełną piersią orzeźwiającem powietrzem — czuje się szczęśliwym zdala od ruchu, cywilizacyi, w tej głuszy i puszczy prawdziwej! Lecz ciało wymaga odpoczynku, oczy się kleją — zasypiamy na gałęziach smerekowych, jak w najlepszem łóżku, a we śnie przesuwają się nam cudowne obrazy tatrzańskie i niebotyczne szczyty z kozicami, lasy rojące się od głuszców i „mikołajów!“ — „Czas wstawać!“ — budzą nas głosy górali; wyciągamy zesztywniałe członki, patrzymy na zegarki: w pół do drugiej. Noc prześliczna: pogodna jasna; rozchodzimy się znowu, każdy w innym kierunku.

Po trzech kwadransach forsownego marszu przez złomy, strome skały, siedzę nareszcie na lasce myśliwskiej na Szuwarowej; zaledwie zdążyłem odsapnąć, słyszę znane, a tak miłe dla ucha myśliwego, puknięcie, jakby dzięcioł zakołatał o drzewo; towarzyszący przewodnik szturcha mnie i szepce! „już klepie!“ — „Poczekam, niech się roztokuje!“ — odpowiadam; zbyt ciemno było zresztą, by podskakiwać. A tu następują po sobie prawie nieprzerwanie te dźwięki tak trudne, prawie niemożliwe do naśladowania: „Tek... tek... tek-tek.. tek-tek-tek... czuji... czuji... czuji... czuji... czuji... ji-ji-ji...“ — naprzód uderzenie krótkie, jedno, drugie, potem coraz szybsze, przechodzące w syczenie, podczas którego nie słyszy — podskakuje się wtenczas dwa, najwyżej trzy kroki. Ponieważ słyszę dość wyraźnie syczenie — wiem, że jestem najwyżej na trzysta kroków od rozmiłowanego, a zazdrosnego śpiewaka oddalony; ogromny ptak, a głos ma tak cichy; co za różnica z cietrzewiem, którego słychać daleko. Rozwidnia się, widzę już gałęzie leżące na ziemi; wstaję, daję znak towarzyszowi, by na miejscu pozostał; podczas syczenia robię ogromne trzy skoki naprzód, trzaska suchy patyk pod nogami, głuszec przestaje nagle tokować; serce ściska się trwogą: „przy pierwszych krokach spłoszyłem go — co za nieostrożność!“ — myślę — mam ochotę... obić się, co naturalnie wcale nie wzrusza ptaka, nie wpływa,

by przemówił prędzej, jak zamierzał, pieszczotliwie do ucha mego; staję w miejscu w strasznie niewygodnej pozycyi — jak posąg, z nogą jedną podniesiono wysoko, minuty wydają się wiekami; nareszcie słyszę znów: „tek... tek-tek..." — nie odleciał! — Oddycham! Ostrożnie już teraz, nauczony doświadczeniem, robię krok jeden, najwyżej dwa, posuwam się wolno — gdy syczy; kryję się za drzewami, bo coraz widniej; uchodzę z dwieście kroków w ten sposób, wzrokiem badam drzewa, skąd mnie głos dochodzi: spostrzegam go, siedzącego u wierzchołka wysokiego smereka, rosnącego na kraju upłazu, ogołoconego z drzew przez wicher, który je połamał. Idę z góry na dół, widzę go przeto dokładnie, sylwetka jego odbija się na tle gołaźni, śniegiem pokrytej. Kłapie i syczy nieustannie, podnosi wachlarz, skrzydła opuszcza, od czasu do czasu podnosi głowę, jakby badał tajemnice kniei, czy nie odezwie się gdzie rywal ukryty? — niechby spróbował! — Gdakanie kur uspakaja go, znowu tokuje coraz piękniej, żywiej — on mistrz wobec tęskniących za nim bogdanek! — Podchodzę go coraz bliżej, jestem od niego najdalej na kroków trzydzieści; zasłonięty grubym świerkiem, przypatruję się mu z rozkoszą. „*Moriturus te salutus!*" zdaje się mówić śpiewem swoim „łabędziem" — ostatnim — myślę w duchu, ale głos wewnętrzny doświadczenia przestrzega: „dość tych marzeń! — Odleci! Strzelaj!" Strzał rozlega się echem po górach, a król tych lasów z łoskotem pada martwy na ziemię. „Chwalas Ci Panie, ze narescie strzelili" — odzywa się towarzysz, który nieznacznie podkradł się za mną — „aż mnie coś zaskrobało na wątrobie, jak skocyli z pocątku, a tu chrupot strasny!" Ściskam poczciwego górala, przechodził te same, co ja emocye; oglądam zdobycz: pyszny kogut; ośmnaście piór w wachlarzu, dobrze białem nakropionych, dziób prawie biały, stary głuszec. „Chodźma na zleb (stok) pod granic (grzbiet góry), ale spiesmo, moze jaki tam i klepie?" Chciwość ludzka nie ma granic — poszedłem. Diana jednak uważała, i słusznie, że dość mnie obdarzyła swą łaską; widziałem wprawdzie zdaleka kilka kur i kogutów, ale żaden się nie odzywał. Uwolnieni jednak od niebezpiecznego współzawodnika, niezawodnie wkrótce go zastąpią i na Szuwarowej ucho szczęśliwego myśliwego znowu rozkoszować się będzie tokami i to kilku młodszych głuszców.

A towarzysz mój znowu nie miał, niestety, spotkania; słyszał gdaczące kury, musiały być koguty w blizkości, ale żaden nie tokował! Nie traci Dr. Z. humoru, cieszy się moją zdobyczą; jest zanadto dobrym myśliwym, by chwilowy zawód miał go martwić; roku przeszłego ubił dwa pyszne okazy.

Schodzimy na dół po polanie, świeżą, młodą zielenią pokrytej, zasłanej gencyanami, krokusami, ciemno niebieskiego i fioletowego koloru, różowemi i żółtemi primulami, jakby kobiercem różnobarwnym; wszystko błyszczy i mieni się w rosie porannej, lasy ciemne i jaśniejsze zręby przybierają ton ciepły, czerwonawy; słońce wyłania się z poza gór i ozłaca śnieżne szczyty Giewontu i Czerwonych Wierchów; w dolinie wije się srebrzysty Dunajec, torując sobie drogę wśród skał i lasów, — okrywa się pianą miejscami, szumi i huczy z łoskotem, jakby się gniewał na stawiane zapory, — niezliczone białe potoki, spadające parowami z gór, zasilają go, chcąc mu ułatwić walkę i zwycięstwo. Wody jego płyną szybko, hen — wdal, ustępują nowym, zostawiając jednak zawsze ślad po sobie, tak, jak wspomnienia, które po latach nawet, jeśli tak miłe, jak powyżej opisane, zdolne będą rozjaśnić szare chwile życia codziennego.

Franciszek Łubieński.

W sprawie kłusowników.

W Nrze 5-tym „Sylwana" czytaliśmy artykuł p. J. Kosiny pod tytułem „Słówko o kradzieżach leśnych", w którym autor pomieścił bardzo cenne uwagi co do obecnego traktowania spraw kradzieży leśnych w sposób, który do umoralnienia naszego ludu wcale się nie nadaje. Ponieważ te sprawy zupełnie analogicznie ze sprawami nadużyć kłusowniczych są traktowane, uważamy za stosowne zaznajomić naszych czytelników z tym artykułem. Opiewa on:

Przypominam sobie jeszcze z wykładów, że teoretycznie wpajano w nas nasamprzód ogólne, a później jak najwięcej szczegółowe wiadomości o szkodnikach leśnych; a więc przedewszystkiem uczono nas, że są szkodniki ze świata zwierzęcego, roślinnego, szkody zrządzone przez elementarne wypadki, nareszcie szkody zrządzone przez ludzi. Podczas gdy przy szkodnikach, z pomiędzy owadów, obznajamiano nas z najdokładniejszemi szczegółami dotyczącymi ich anatomii i fizyologii, uporano się w kilku słowach z szkodnikami dwunożnymi, ponad wszelkiem stworzeniem stojącymi — ludźmi. Pomijając już ową, może wielu z czytelników znaną w swoim czasie odpowiedź jednego z kandydatów do egzaminu na samoistnego gospodarza leśnego, że „największym szkodnikiem jest źle płatny leśniczy", zaznaczyć i stanowczo z naciskiem podnieść muszę, że najgorszym szkodnikiem jest człowiek.

Szkodników ze świata zwierzęcego, jeżeli te zwłaszcza nadzwyczajnie się rozmnożą, mamy w ręku, a w najgorszym razie przy hyperprodukcyi jednostek przychodzi nam sama przyroda z pomocą i zasiawszy między nie epidemię, stawia kres dalszemu rozwojowi i często gubi je doszczętnie. Nie ma się więc żalu nawet do nich — stworzenia to bezrozumne, a rozmnożenie się ich spowodował swem nieoględnem postępowaniem człowiek sam, albo zmusił ich do tego jakiś wyższy, poza wolą i wiedzą człowieka stojący nakaz.

Ale człowiek, ach ten człowiek, którego Bóg przy stworzeniu już wyodrębnił od reszty jestestw i dał mu wolę, rozum i rozsądek; — człowiek, który dla pohamo-

wania swych resztek zwierzęcych namiętności sam stworzył zwyczaje, następnie prawa, ustawy objęte morzem paragrafów, ustanowił sądy, władze polityczne, wymyślił najrozmaitsze procedury (uchylając się od pierwotnej — batów), ten człowiek potrafi obejść te wszystkie paragrafy jak postępowy żyd postanowienia praw mojżeszowych.

W artykule wstępnym „Oesterreichische Forst- und Jagd-Zeitung“ z dnia 23. lutego 1900, nr. 896 (nr. 8. z r. 1900) poruszono kwestyę naszej ustawy leśnej pod tytułem „Unser Forstgesetz“ i artykuł ten uważam za tak doniosły, że miałbym sobie za grzech nie poruszyć w naszem piśmie tej niesłychanie, zwłaszcza dla naszych stosunków, ważnej sprawy.

Szanowny autor podpisany Z., jakby odczuł nasze położenie pod tym względem, jakby widział bezkarność naszego złodzieja leśnego, a tem więcej i co najgorsza, prawie zupełną bezkarność jego złego ducha, który go do kradzieży skłania, odbiorcy wyrobionych ze skradzionego drzewa materyałów — naszego bezpośredniego i zawsze najbliższego w Galicyi sąsiada — bliźniego-żyda.

W okolicy, z której to piszę, kradzieże leśne doszły chyba do zenitu, właściwie na dobrą sprawę powinnoby się jakiś zrąb roczny przeznaczać złodziejom do użytku i tym sposobem okupić porządek — postanowienia karne zawsze z łagodzącemi zastosowywane bywają okolicznościami i często, gdy tato ze strażnikiem pocącym się nad udowodnieniem jasnej jak na dłoni winy zabawiają się w sądzie — mama z synami albo córkami wynagradzają sobie w lesie już z góry owe 3 czy 4 doby aresztu, które tatę, po 15-ty lub 20-ty raz karanego, czekają. Rozumie się, że tym razem nie mógł strażnik złapać złodzieja, a chociaż się dowie o dokonanej kradzieży, nie ma dostatecznych danych do udowodnienia winy. Dla naszego złodzieja leśnego nie ma dnia, nie ma nocy, nie ma święta, nie ma niedzieli, w ogóle nic ma pory, którąby się nie nadawała do zbrodniczego czynu. Nareszcie nie ma dla naszego złodzieja niebezpieczeństwa, strażnik mu nic nie może zrobić, a sąd łagodnie sprawę osądzi, złodziej leśny idzie bandą, rozstawia straże, obwiązuje drzewo szmatami przy przerzynaniu, aby głos stłumić, chwyta trociny na płachty, aby odwrócić powierzchowną uwagę strażnika — słowem jest przebieglejszy od najprzebieglejszego lisa. Zdarzało mi się kilkakrotnie, że sąd zawołał tak zwanego rzeczoznawcę do oszacowania wartości drzewa, którą wedle obowiązującej taryfy obliczyłem i podałem, a ten zniżał ją samowolnie poniżej 5 zł., — co to znaczy, każdy z nas rozumie; raz nawet złapałem sam złodzieja, który ściął, zabrał i po większej części powyrabiał na gonty, świerka wartości 10 zł. 80 ct. — rzeczoznawca ocenił go na 3 zł. 80 ct. — Co ra rozkosz dla złodzieja! Gdyby go chciał kupić, zapłaciłby 7 zł. więcej, a kilka dni aresztu toż to dla niego bagatela — nawet przy zupełnym zaniku ambicyi i poczucia własnej godności stanowi to dla niego punkt honoru, a sam na własne uszy słyszałem, jak chłopak chwalił się: „Ja uże w areszti sydiw za lis!“.

Doprawdy, gdy wobec tych stosunków częstokroć ogarnia człowieka w poczuciu własnej bezsilności, wobec gwałtownych bezprawi rozpacz, broni się wszelkiemi siłami od narzucającej się gwałtem apatyi. Ponieważ oświata u nas w ogóle jeszcze nie dotarła pod strzechę włościańską, więc to, co brakuje w tym kierunku naszemu włościaninowi, powinno zastąpić prawo bezwzględne, surowe, i nauczyć go, o czem dotychczas nie wie lub nie chce wiedzieć, że las może także być własnością, której, jak n. p. zboża w stodole, bezkarnie niszczyć, a tem więcej zabierać nie wolno.

Powołałem się z początku na artykuł p. Z. w „Oesterr.-Forst- und Jagd-Zeitung“, do którego szan. czytelnika dla bliższej informacyi odsyłam, ponieważ podnosi on tam, że przy wiosennym kongresie leśników będzie rzuconą przez styryjskie Towarzystwo leśne myśl o ile potrzebnem jest stworzyć nowe ustawy lasowe. Szanowny autor przytoczywszy najważniejsze postanowienia pruskiej ustawy leśnej z dnia 15. kwietnia 1878, dotyczące karania kradzieży leśnych, porównywuje na tem tle naszą ustawę i zwraca uwagę tych, którym danem będzie zasiąść w gronie wybitnych leśników, aby przecież gorąco poruszyli sprawę zmiany ustawy leśnej w kierunku tak pożądanym.

Pozwolę sobie przytoczyć z owego artykułu niektóre ustępy pruskiej ustawy leśnej.

„W orzeczeniu trybunału (Reichsgericht) z 20. października 1875. powiedziano: „złodzieje, leśni, którzy przywłaszczyli sobie bezprawnie skradzione, a odebrane im przez leśniczego drzewo ponownie (a ile to u nas takich wypadków!), popełniają nową, osobno karać się mającą zwyczajną kradzież“.

Karą za kradzież leśną nie jest tak często u nas ulubiona i obficie udzielana „nagana“, lecz zawsze, gdzie tylko to możliwe, pieniądze. Kara ta równa się pięciokrotnej wartości skradzionego drzewa, a nigdy poniżej 1 marki. Podwaja się ją (nigdy poniżej 2 marek):

1. Jeżeli kradzież popełnioną została w niedzielę lub święto, lub w czasie między zachodem a wschodem słońca.

2. Jeżeli sprawca używał środków, aby utrudnić poznanie go.

3. Jeżeli sprawca okradzionemu lub personalowi straży leśnej swego nazwiska i miejsca zamieszkania wyjawić się wzbrania, albo zeznał fałszywie co do nazwiska i mieszkania swego lub swych pomocników, na nawoływania okradzionego lub straży począł uciekać lub dalej uciekał.

4. Jeżeli sprawca do popełnienia kradzieży leśnej użył narzędzia siecznego, a w szczególności piły, noża lub nożyc.

5. Jeżeli sprawca wzbrania się wydania narzędzi.

6. Jeżeli do celów kradzieży leśnej użył zaprzęgu, łodzi, lub zwierzęcia jucznego.

7. Jeżeli przedmiotem kradzieży są sadzonki drzewne.

8. Jeżeli kradnie smolaki, żywicę, soki, korzenie, korę albo pędy główne (wierzchołkowe) ze stojących drzew.

9. Jeżeli kradzież, leśną popełniono w młodnikach, szkółce drzewnej lub siewnej“.

Zamierzona kradzież jakoteż przechowanie skradzionych przedmiotów, karane jest tak, jak dokonana kradzież leśna.

„Obok kary pieniężnej może być przyznaną kara więzienia do 6-ciu miesięcy:

1. Jeżeli kradzież leśna przez trzy lub więcej osób wspólnie dokonaną została;

2. Jeżeli kradzież leśną popełniono w celu sprzedaży skradzionego przedmiotu lub z niego przerobionych materyałów;

3. Jeżeli przechowanie popełniono dla zarobku lub przyzwyczajenia.

Następujące postanowienia mogą być jeszcze interesujące:

§. 7. Kto zasądzony raz przez pruskie sądy za kradzież leśną, lub usiłowanie kradzieży lub za udział, ułatwienie, ukrywanie kradzieży leśnej w przeciągu dwóch najbliższych lat ponownie jeden z tych czynów popełni, popada w recydywę i ukaranym będzie karą pieniężną równającą się 10-cio krotnej wartości skradzionego przedmiotu, a kara ta nie może być nigdy niższą aniżeli 2 marki.

§. 8. Obok kary pieniężnej ukarać należy więzieniem do dwóch lat, jeżeli sprawca znajduje się w trzeciej lub dalszej recydywie. Jeżeli kara wynosi mniej aniżeli 10 marek, to może być kara więzienia zamieniona na grzywnę dodatkową do 100 marek.

§. 9. We wszystkich wypadkach jest obok kary pieniężnej obowiązkiem winnego uiścić odszkodowanie okradzionemu. Odszkodowanie za szkodę, nie leżącą w wartości skradzionego przedmiotu, może być dochodzone tylko w drodze procesu cywilnego. Wartość skradzonego przedmiotu szacuje się tak ze względu na odszkodowanie, jak i grzywnę — jeżeli kradzież popełniono w królewskim lesie według taryfy obowiązującej dotyczący rewir — w innych wypadkach wedle taryfy miejscowej“.

Sądzę, że gdyby u nas choć tylko podobny kodeks wprowadzono i w praktyce jego postanowień dotrzymywano, niezadługo nie mielibyśmy recydywistów, a kradzieże, jako nie popłatne przedsiębiorstwo, przeszłyby do historyi.

DO BRONI!

Tem starem hasłem pragnąłbym zelektryzować i do pożytecznego czynu pobudzić nasz świat łowiecki. Ustawa nasza bowiem, choć w ogóle wywarła w ciągu swego istnienia nadzwyczaj dobroczynny wpływ w kraju całym na zwierzostan, jednak z wielu względów, w szczegółach niektórych, jest z gruntu wadliwą. Pisali ją bowiem mężowie, którzy widocznie przy zielonym stoliku i z ksiąg niemieckich, a nie w kniejach i lasach potrzeby krajowego łowiectwa badali. Wszyscy na to się godzą, że ta ustawa bardzo niedomaga, że jest ciężko chorą, a przecież tak jakoś dotąd było trudno zawieść ją do doktora. Leczono ją wprawdzie nieco ostatniemi czasy, ale tak nieszczęśliwie, że ta kuracya popsuła jeszcze jej wątłe zdrowie. Jako stary myśliwy, od młodzieńczych lat badający te stosunki, i zamiłowany hodowca zwierzyny, wyznaję, że z pedanteryą przestrzegam wszelkich przepisów tej ustawy łowieckiej, o ile one są praktyczne i rozumne, ale wcale na nie nie zważam w rzeczach, w których są niedorzeczne i wprost szkodliwe. Pocóż n. p. to do przesady zalecana ochrona niektórych ptaków nie mających nic wspólnego z łowiectwem, a wypuszczanie z pod opieki tak licznego zastępu szlachetnej zwierzyny? Pomijając już zalecaną ochronę rozmaitych innych szkodników, zwrócić muszę uwagę na zaprotegowanego przez ustawę: Jastrzębia myszołowa.

W ciągu tej wiosny własnoręcznie trzech takich, przez ustawę zaprotegowanych zbrodniarzy, na zwłokach zamordowanych zajęcy zastrzeliłem! Przeciw temu szkodnikowi, czyż nie warto na naszych myśliwych zawołać: „Do broni!?“ W cnotę sów, również protegowanych przez ustawę, także wcale nie wierzę, mam bowiem dowody, ile to się ich łapie na samotrzaski, w których wystawione są kury, lub gołębie? Watpię, ażeby sowy je tam odwiedzały, aby im bajki opowiadać. A cóż dopiero powiedzieć o owym świętoszku, faryzeuszu, — w biało czarnej szacie, który na długich czerwonych nogach chodzi po polach i łąkach i wyjada młode zajączki i jaja kuropatw, bażantów, przepiórek, bekasów, a uporczywie ciągle zaręcza, że jada tylko węże i żaby, a w wolnych chwilach przynosi nowonarodzone dzieci do kołysek.

Nie wierzę ja w pożyteczność ptaka, który ma krzywy dziób i pazury, z wyjątkiem chyba papugi, jeśli ona komu może być pożyteczną. Przeciw tym szkodnikom pragnąłbym wzywać zawsze cały nasz świat łowiecki starem hasłem: Do broni!

Wiele się pisze i drukuje aż do znudzenia w szpaltach *„Łowca“* o kłusownikach, o niewykonywaniu przez władze sądowe przepisów i t. d. Wszystko to prawda, ale ze słabością ludzką też się liczyć trzeba. Kłusowników są dwa gatunki: jedni polują dla zysku, inni z zamiłowania i ci może są najgroźniejsi. A i od p. sędziego, jeśli sam nie jest myśliwym, wymagać nie można, aby surowo ukarał kłusownika, który cichaczem pani sędzinie przyniósł do kuchni zająca. Większą szkodę w zwierzostanie niż kłusownicy wyrządzają z pewnością w kraju owe czarne latawce, które bezkarnie krążą nad naszemi głowami. Mówię tu o jastrzębiach, wronach, krukach i srokach. Zbyt mało na nie zwracamy uwagi, a przecież to są najwięksi wrogowie naszej zwierzyny szlachetnej. Tępienie tych szkodników powinno by być ogólne, w całym kraju, ale tem powinien by się zająć rząd — co w naszych obecnych stosunkach nie jest przypuszczalne. Uzyskane fundusze za karty myśliwskie, gdyby użyte były jako premie za wytępianie szkodników, przecież przyniosłyby krajowi jakiś pożytek — zamiast bez najmniejszego pożytku niknąć — Bóg wie gdzie. Gdy więc w tym kierunku na poparcie liczyć nie możemy, samo-pomoc wydaje mi się środkiem najpewniejszym i jedynym. Tak liczny jest przecież zastęp myśliwych w naszym kraju. Oto gdyby każdy z nas uczuł w sobie powinność myśliwskiego sumienia, ile razy ma broń palną w ręku, nie przepuścić bezkarnie żadnego jastrzębia, kruka, wrony lub sroki, z pewnością stan tych zbrodniarzy zmniejszyłby się znacznie.

Ale w tym względzie dziwna jakaś u nas panuje apatya.

Iluż to zdarzyło mi się spotkać myśliwych, których wzywając do strzału do wrony lub sroki, usłyszałem odpowiedź: „Szkoda naboju“. A przecie ileż to do roku taki szkodnik zniszczy szlachetnej zwierzyny, dla której by z pewnością naboju nie było szkoda. Gdyby z nas każdy w wiosennej porze zalecał służbie i straży leśnej, by pilnie śledzili gniazda jastrzębi, srok i wron, takowe strzelali a ich lęgi niszczyli, czyżby na tem zwierzostan w kraju nie skorzystał wiele? Strzelanie orła lub jastrzębia, zwykle bardzo czujnego na gnieździe, zwłaszcza gdy młode już się wylęgły — do nader zajmującego zalicza się sportu. A polowanie z puchaczem, w owej właśnie porze, gdy wszelkie inne łowy są niemożliwe, czyż myśliwemu nie sprawia prawdziwej przyjemności? i czyż nie jest zarazem i bardzo pożytecznem? Na dowód do jakich rozmiarów dochodzi u nas ilość drapieżników, przytoczę cyfry u mnie tylko zabitych w tym roku: 21 lisów, 6 kun, 4 tchórze, 2 orły, 2 sokoły, 33 jastrzębie, 67 wron, 42 srok, 11 sów, wszystko to zastrzelone, otrute lub schwytane na żelaza lub samotrzaski; a pomimo tego nieprzebrane ich ilości snują się jeszcze po horyzoncie.

Jednostka na to nie pomoże. Trzeba ażeby nasz cały świat myśliwski ocknął się z apatyi i zawołał: „Do broni!“

Podkamień, w czerwcu.

L. Starzeński.

Kilka słów o nowych systemach broni.

Automatyczna broń różnorakich systemów, form, kalibrów, do rozmaitych służąca celów — oto hasło naszych czasów. Dawna broń repetierowa nie wystarcza już. Repetowanie stało się dla wygodnych dzieci XX. wieku zbyt uciążliwem. „Po co natężać rękę do takiego mechanicznego działania“ — powiedziano sobie i zaczęto obmyślać, w jaki sposób możnaby sobie tej czynności zaoszczędzić. Automatyczność nie jest tak zupełnie nowym wynalazkiem — w broni armatniej widzimy dążenie do niej już w czasach dawniejszych, przeszczepienie jej jednak do broni ręcznej jest zasługą czasów naszych. Broń, która sama się po wystrzale nabija, stała się ideałem i w tym kierunku mamy obecnie cały szereg wynalazków mniej lub więcej udatnych.

Przedewszystkiem zastosowano automatyczność do broni, która ma służyć do obrony własnej, wychodząc z założenia, że szybkostrzałowość na tem właśnie polu najbardziej jest pożądaną. I tu przedewszystkiem mamy cały szereg najrozmaitszych systemów.

Wspólną cechą wszystkich jest spożytkowanie siły prężności gazu, powstałej przy spaleniu się prochu. Prężność gazu tego rozpościera się naturalnie we wszystkich kierunkach — działa więc zarówno naprzód, wyrzucając pocisk, jak na boki i w tył, gdzie zwykle bywa paraliżowaną odporem lufy lub zamknięcia. Otóż spożytkowanie tego wstecznego kierunku prężności gazów wybuchowych do automatycznego nabijania broni, jest wspólną cechą automatycznych systemów broni, jakie posiadamy.

Pomysł ten, zastosowany przez Maxima przy armatach już dość dawno spożytkowali najrozmaitsi inni wynalazcy w rozmaity sposób.

Najbardziej znaną automatyczną bronią są pistolety systemu Bergmanna, Mausera i Browinga.

Celem ich jest zastąpienie używanych dotąd rewolwerów, których repetowanie polega na obracaniu się bębenka (Trommelsystem).

Nie da się zaprzeczyć, że bębenek w rewolwerze, zajmując szczególniej na szerokość wiele miejsca nie odpowiadał najgłówniejszemu warunkowi broni osobistej, kieszonkowej, którym jest to, aby broń taka jak najmniej zabierała miejsca, aby ją wszędzie wygodnie można było ukryć, i żeby nie zawadzała zbytnio noszącemu. Głównym wymogiem do tego jest bez kwestyi, aby broń taka była płaską, gdyż wtedy najlepiej do ciała przylega, nie odstaje i nie zawadza. Rewolwer bębenkowy pod tym względem nie odpowiada celowi, choćby nawet był sprowadzony do bardzo drobnych rozmiarów.

Oprócz tej ujemnej strony rewolwerów miały one i drugą. Pomiędzy lufą a bębenkiem z jednej — tym ostatnim zaś a miejscem, gdzie wchodził sztyft kurka lub sam tylko sztyft (przy systemach bez kurków), musiał być pewien, choćby tylko drobny odstęp, który jednak już wystarczał, aby przy oddaniu strzału nastąpił znaczny ubytek gazu, wskutek czego tak szybkość pocisku jak i siła jego rzutu wiele cierpiały. Cała wartość prężności gazu, jaki ze spalenia się oderwanego ładunku prochu powstawał, nie mogła zostać zużytkowaną, dlatego to celność rewolwerów, siła przebicia ich pocisków jest zawsze niewielka, tak, że zdarzało się dość często, iż pocisk nawet z lufy nie zostawał wyrzuconym. Że na tem wszystkiem musiała cierpieć przedewszystkiem celność strzałów — nie ulega wątpliwości. Rewolwer choćby na 10 kroków celnie strzelający jest i pozostanie na zawsze unikatem. A cóż warta broń do obrony służyć mająca, jeśli w danym razie nawet spuścić się na nią nie można.

Trzeba przyznać, że w obu tych kierunkach nowa broń automatyczna czyni zadość nawet daleko idącym wymaganiom. Automatyczne pistolety są płaskie — jedne mniej, drugie więcej a pod względem celności strzałów i siły perkussyjnej pocisku nic nie pozostają do życzenia.

Na broń kieszonkową w ścisłem tego słowa znaczeniu nadaje się najbardziej 7-strzałowy pistolet Browinga wyrabiany w znanej fabryce belgijskiej w Liège. Jest on bardzo wąski (szerokość nie przenosi $1\frac{1}{2}$ cm.), krótki, lekki i zgrabny — strzela przytem wybornie na odległość 100 kroków a nawet powyżej. Pod względem celności i siły przewyższa go pistolet Bergmanna — jest on jednak szerszy, dłuższy i mniej wygodny — wszystkie zaś po-

bija pistolet Mauserowski, dla którego przestrzeń 500 kroków jest niczem. Ten ostatni jednak wskutek swego systemu nabijania ramowego zajmuje zbyt dużo miejsca i na broń kieszonkową się nie nadaje.

Natomiast przy użyciu futerałów za łoże, co się dzieje w ten sposób, że futerał przypina się do kolbki pistoletu — przemienia się pistolet ten w znakomity karabinek, który przy swej celności i donośności może być używany, zwłaszcza przy zastosowaniu pół płaszczowych kul — na wielką zwierzynę.

Nie automatycznym, ale dość praktycznym, a przedewszystkiem zgrabnym i małym jest pistolet systemu inżyniera Bära, zwany „Bär-Pistole“, wyrabiany przez firmę Sauera w Suhl. Jestto bardzo krótki (12 cm.) i bardzo płaski (1 cm. szer.) pistolecik 4-strzałowy a raczej 2 razy po 2 strzały do dyspozycyi mający. Miejsce bębenka w rewolwerze zajmuje u niego wkładka, obracalna w kierunku pionowym naokoło osi. Zamek jej bez kurków, cały pistolet bardzo gładki i zgrabny tak, że zł atwością da się umieścić w kieszeni piersiowej surduta.

Szczegółowo systemów tych nie opisuję, bo kto ciekawy może sobie łatwo gratis i franko sprowadzić odnośne cenniki ze szczegółowymi, dokładnymi opisami — moim zamiarem było zwrócić uwagę na te nowości na polu broni — w następnym zaś artykule przedstawię jeszcze inne nowe zdobycze odnoszące się do broni myśliwskiej.

Edmund Walter.

Sprawa wykonywania ustawy łowieckiej.

P. Starosta skałacki rozesłał następujący okólnik do zwierzchności gminnych i obszarów dworskich:

Właściciele i dzierżawcy prawa polowania uskarżają się bezustannie, że włóczące się po polach i lasach psy, wyrządzają w zwierzostanie ogromne szkody, wyłapując przeważnie zające, a nawet łapią i rozdzierają sarny, jak to w ostatnich miesiącach kilka wypadków miejsce miało.

Skonstatowałem, że główną przyczyną wałęsania się po polu całych gromad psów, jest ta okoliczność, że włościanie wyjeżdżając na roboty w pole, zabierają psy ze sobą — zamiast, by je dla strzeżenia dobytku w domu pozostawiać — a równie i pastuchy, idący z bydłem na paszę, ciągną ze swawoli psy za sobą, i harcując po łanach, urządzają formalne polowania na zwierzynę — gdy tymczasem bez dozoru pozostawione bydło wyrządza szkody polowe.

Ponieważ dotychczasowe pouczanie przepisów z ustawy łowieckiej i upomnienia moje w tym kierunku, udzielane już kilkakrotnie Naczelnikom gmin na sesyach urzędowych, nie odniosły pożądanego rezultatu, przeto na podstawie §. 73 ustawy łowieckiej polecam panu, ażeby bezwłocznie ogłosił najobszerniej w gminie z a k a z wypuszczania i prowadzenia ze sobą psów w pole i lasy, a to pod zagrożeniem, że nietylko włóczące się psy i koty przez właścicieli prawa polowania i straż leśną i łowiecką strzelane będą — ponieważ w myśl §. 43 ustawy łowieckiej, za włóczącego się psa i kota ma być uważany każdy pies i kot — przydybany w polu lub lesie w dalszem oddaleniu jak 300 metrów od domu mieszkalnego, ale prócz tego za przekroczenie niniejszego zakazu karać będę grzywnami i właścicieli psów, którzyby, nie mając prawa polowania, rozmyślnie do lasu lub w pole bez jakiejś nieodzownej potrzeby psy ze sobą bez uwiązania zabierali.

Pan naczelnik gminy, (przełożony obszaru), poleci strażnikom polowym, by na zakaz ten zwracali baczną uwagę i ludność przed następstwami przestrzegali, a stąd otrzymują równoczeście polecenia straże łowieckie i polowe jako też c. k. żandarmerya, by do zarządzenia tego ściśle się stosowały i o wszelkich przekroczeniach i winnych zaraz mi donosiły.

Mając przekonanie, że panowie Naczelnicy gmin i Przełożeni obszarów dworskich, c. k. żandarmerya, straż łowiecką lasowa i polna, a w pierwszej linii panowie właściciele polowań, już we własnym interesie, poprą usiłowania moje około poprawy zwierzostanu w powiecie i przestrzegając postanowień ustawy łowieckiej z d. 5 marca 1897 D. u. k. L. 71 i przepisów wykonawczych z dnia 1-go kwietnia 1898 t. 21 D. u. k. będą w szczególności zwracać baczną uwagę na kłusowników, na niegodziwe zastawianie sideł na zwierzynę i na nieuprawniony handel dziczyzną — donosząc mi o każdem wykroczeniu celem pociągnięcia winnych do odpowiedzialności karnej, równie i z mej strony zapewnić muszę, że zajęcie się tą ważną gałęzią kultury krajowej k a ż d e m u i p r z y k a ż d e j s p o s o b n o ś c i — za szczególną zasługę poczytać nie omieszkam.

W końcu polecam Zwierzchności gminnej i Przełożeństwu obsz. dworsk., by o należytem ogłoszeniu powyższego zakazu do 14 dni mi doniesiono.

Szydłowski.
C. k. Starosta.

Członek naszego Towarzystwa p. St. A. przesłał nam odpis rozporządzenia c. k. Namiestnictwa, zakomunikowanego mu przez właściwe c. k. Starostwo, które opiewa jak następuje:

Lwów, dnia 1. czerwca 1900. C. k. Starostwo orzeczeniem z dnia . . . . uznało Michała B., z B. winnym przekroczenia §. 18. cesarskiego patentu o polowaniu z 28. lutego 1786 popełnionego przez noszenie broni i strzelanie zwierzyny na gruntach należących do

dzierżawy polowania gminnego i zasądziło go za to na grzywnę 25 zlr. na rzecz funduszu miejscowych ubogich, ewentualnie na karę 3½ dni aresztu, dalej na ponoszenie kosztów postępowania karnego w kwocie 4 zlr. i na utratę zabranej u niego strzelby. C. k. Namiestnictwo załatwiając zażalenie Michała B. przeciw powołanemu orzeczeniu c. k. Starostwa, uchyla to orzeczenie w całej osnowie z powodu przedawnienia, ponieważ czyn karygodny według zeznania tak obwinionego jak i przesłuchanych świadków, popełniony został 6. sierpnia 1898 zatem po upływie 6 miesięcy od dnia popełnienia czynu karygodnego, skutkiem czego po myśli §. 78 ustawy łowieckiej z dnia 5 marca 1897 Dz. u. kr. Nr. 71. *nastąpiło w tym wypadku przedawnienie przekroczenia. Okoliczność, że c. k. Starostwo wysłało 19. września 1898 i 15. października 1898 pakiety urzędowe do Zwierzchności gminy w B, zawierające rzekome wezwania dla obwinionego do stawienia się do rozprawy karnej, nie stanowi jeszcze dostatecznego* **prawnego dowodu**, *że te wezwania istotnie w terminie, wykluczającym przedawnienie obwinionemu, doręczone zostały.*

Redakcya.

KORESPONDENCYE.

Żurawno, d. 20. maja 1900.

Szanowna Redakcyo!

Doczekawszy się nareszcie korespondencyi w majowym zeszycie *Sylwana* przeciw artykułowi „W obronie bocianów“, w tym organie przed kilkoma miesiącami umieszczonym, idę za przykładem i pozwalam sobie na parę uwag w „*Łowcu*“ — uważając to pismo za właściwsze dla tej sprawy. Na wstępie jednak nadmienię, że korespondent, występujący przeciw artykułowi, lepiej poznał bociana, niz jego obrońca, autor tego artykułu, który albo zna tylko grubą zwierzynę, ubywającą z ubywaniem lasów, albo się nie przyglądał dokładnie bocianom.

Chodząc jako chłopiec z ojcem moim na chruściele, zauważyłem pewnego razu na ścierni zaciętą walkę bażanta (kury) z bocianem; — bażant ten chciał prawdopodobnie przeprowadzić swoje młode przez ścierń z dożynanego przez kilku ludzi zboża w inne bezpieczniejsze miejsce, a spotkawszy się na nieszczęście ze strasznym dla jego piskląt bocianem, który je chwytał i połykał jakby żaby — stanął w obronie tychże do rozpaczliwej walki. Ojciec mój domyślając się o co chodzi, podbiegł i celnym strzałem resztę piskląt od niechybnej zagłady wybawił.

Przy sekcyi bociana zrobionej na miejscu (czy Szanowny autor art. „W obronie bocianów“, zaglądał kiedy do wola bocianiego?) znaleźliśmy pięć bażancików, jedną mysz i kilka nieopierzonych ptasząt, prawdopodobnie skowronków, gdzieś z gniazda zrabowanych.

Od tego czasu stałem się zaciętym wrogiem bocianów, a gdy mi w późniejszym wieku powierzono wielki rewir łowiecki do nadzoru, przestrzegałem zawsze, by bociany tam na żer nie zapadały, gdzieby mogły najdotkliwszą szkodę wyrządzić, to jest w bażantarnie i na pola przyległe do tychże, a walcząc z nimi przez kilkanaście lat, miałem tyle sposobności przekonania się, jakie wielkie szkody w zwierzostanie ten, na oko niewinny, ptak wyrządza, że chcąc wyliczyć wszystkie spostrzeżenia musiałbym kilka arkuszy papieru zapisać, więc poprzestanę tylko na następującym:

W latach 1887 i 1888, gdy z powodu trwałej posuchy wiosennej, wody w stawach znacznie spadły, strzelałem często do bocianów wynoszących ze stawów duże ryby na gniazda. W roku zaś zeszłym na jednym łanie koniczu podczas koszenia przydybano pięć gniazd jaj kuropatwich; — zostawione koło gniazd kępy koniczu stosownie do mojej rady miały służyć, jako ochrona do czasu opuszczenia gniazd przez młode, ale jaki był mój zawód, gdy mi strzelec zaraportował, że bociany jeszcze tego samego dnia wszystkie jaja powyjadały a to nietylko tam, ale także i na innych wykoszonych łanach. Rozkaz dany z powodu tego wypadku strzelcom, by każdego bociana przydybanego na polach obszarów dworskich bezwarunkowo strzelali i wyznaczenie strzałowego za ich dzióby, były zemstą za wyrządzoną szkodę.

Zdaniem mojem, opartem na doświadczeniach poczynionych w kilkunastoletniej praktyce nabytej koło ochrony polowań polowych, jest bocian największym szkodnikiem w przelotnem drobnem ptactwie łownem, a ubytek tegoż, który od kilkudziesięciu lat nas zatrważa, przypisuję niemniej bocianom rozmnożnym do obrzydliwości, wertującym na każdym kawałku pola i na każdej łące przez czas wylęgania się zwierzyny, jak Włochom i Arabom.

Na zakończenie pozwolę sobie obrońcy bocianów w „Sylwanie“, p. W. Drelinkiewiczowi zwrócić uwagę na niektóre mylne zapatrywania jego, a przedewszystkiem, że ptactwo, krety, węże, jaszczurki a nawet żaby pożarte przez bociana, wytępiłyby tysiące razy więcej podjadków, szkodliwych owadów i ślimaków aniżeli bocian.

Wyrębywanie lasów dla drobnej zwierzyny wywiera tylko wpływ dodatni, bo zwykle na ich miejsce powstają powierzchnie porośnięte trawą i chwastami, jeżeli już nie młodnikami drzewnemi, a te są zawsze bardzo pożądane do wywodzenia się tejże, bo w nich jeszcze znajduje ona pożywienie, schronienie i spokój przed różnemi skrzydlatemi drapieżcami a zatem i przed bocianem, który zwykle swoją żarłoczność na łąkach i polach zaspokaja a to na lęgach przepiórek, chruścieli, kszyków, czajek a nawet kaczek, kuropatw, zajęcy a wreszcie i bażantów i t. d. a szczególnie w latach suchych, gdzie mu braknie innego żeru a łąki i pola mniej bujnie są porośnięte i nie dają na-

leżytego skrycia zwierzynie, dlatego też po latach takich najbardziej ubytki w ptactwie odczuwać się dają.

Prawdą jest, że strzelanie jastrzębi zalecane przez obrońcę bocianów jest niezbędnem dla podniesienia zwierzostanu, ale czyż jest ten jastrząb tak wielkim szkodnikiem, jeżeli jesienią i zimą złapie czasem kuropatwę i zdradzi się, niosąc ją w szponach lub zostawi po pożarciu jej pióra? O nie — ani równać się nie może z bocianem połykającym w sekrecie całe lęgi! Jestem przekonany, że p. Drelinkiewicz nie daruje nawet myszołowowi włochatemu — uważając go za jastrzębia niebezpiecznego zwierzynie, chyba jedynie dla tego, że jest ogromny i ma dziób i szpony, chociaż ten pożyteczny ptak do nas tylko na zimę przylatuje, by się wyłącznie myszami żywić — ale broni bociana, bo nie zna jego sprawek; dlatego tu twierdzić będę analogicznie jak on: „dawniej było daleko więcej jastrzębi i lisów a zwierzyny drobnej nawet bardzo dużo“.

Nie przeczę, że bocian w gościnnej Polsce oddawna swobodnie przebywał, ale dawniej, gdzie zwierzyna drobna miała dosyć skrycia w nieużytkach porośniętych trawami, chwastami i rozmaitemi zaroślami krzewnemi a nie miała tej wartości co dzisiaj, nie były szkody przez bociana zrządzone tak wielkie; dzisiaj jednak, gdy z postępem kultury rolnej, każdy krzak ciernia, dzikiej róży a nawet ostu usuniętym zostaje, gdzie w miejsce tych uprawa płodów rolnych następuje, lub się łąki kilkakrotnie do roku koszone urządza albo wreszcie nawet na pastwisko oczyszcza, są lęgi drobnej zwierzyny pozbawione wszelkiej trwałej ochrony a tem samem wystawione na niebezpieczeństwo od bociana, który się stał plagą a każdy dalszy rok zwleczony z tępieniem tego niewdzięcznego ptaka dotkliwie odczujemy.

Józef Stary.

Sprawozdania łowieckie.

W państwie Łysiec polowano d. 27, 28 i 30 stycznia w rewirze Posiecz na dziki. Dwóch myśliwych, hr. Edmund Csaky i br. Stefan Jeszensky zabili pierwszy odyńca, drugi dwuletnią lochę leśniczy Alojzy Bouska odyńca i lochę.

W Waszycach (w Jasielskiem), ubito w r. 1899 rogaczy 3, zajęcy 23, przepiórek 24, kuropatw 34, kszyków 3, dzikich kaczek 1, lisów 2, orłów 1, jastrzębi 3, kotów i psów 13, wron 66, srok 30.

Wł. Rieger.

Z nadesłanego nam łaskawie przez p. Starostę grodeckiego wykazu przekonujemy się, że powiat grodecki w r. 1899 o dużo lepsze pod względem ilości zabitej zwierzyny wykazuje rezultaty — niż w r. 1898. Cyfry do tego roku odnoszące się podajemy w nawiasach. Zatem zabito jeleni 1 (0), rogaczy 109 (90), dzików 26 (26), zajęcy 495 (336), cietrzewi 2 (0), jarząbków 17 (0), kuropatw 164 (48), przepiórek 334 (77), słonek 45 (62), kszyków 287 (37), dzikich gęsi 6 (0), dzikich kaczek 508 (135), lisów 104 (107), kun 5 (2), tchórzy 10 (0), wydr 12 (0), borsuków 6 (3), orłów 2 (4), jastrzębi, srok etc. 145 (83). Siedmnastu kłusowników ukarano dotkliwemi grzywnami lub aresztem, skonfiskowano 15 strzelb.

Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. ***Wydział.***

Wydanie numeru niniejszego opóźniło się z powodów od Redakcyi niezależnych.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.